

[horyzont życia]

Agata Tuszyńska: J[...], Juna, Józefina

Z teczki

Teczka tekturowa, w słusznym wieku. Dla porządku obłożona jeszcze brązowym, prążkowanym papierem (rodzaj składanej koperty). Zimowała w archiwach Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) blisko osiemdziesiąt lat. Przetrwiała wojnę i kilka porządków politycznych. Także biurowych, o czym świadczą zmienne sygnatury zapisywane na przemian czerwoną kredką i ołówkiem kopiowym.

REFERAT: Osobowy.

SPRAWA: Dokumenty osobiste – Dr Szelińska Józefina

Numery...

Rozpoczęto: 1 XI 1935

Skończono: (pusto)

Dwie czarne tasiemki zasupłane w węzeł.

Po lewej stronie teczki spis dokumentów, które zawiera. Od 1 do 18. Od świadectwa urodzenia do świadectwa pracy. Przez certyfikat przynależności, świadectwo dojrzałości, dyplom doktora filozofii, dyplom magistra filozofii i inne. Wiele wymaganych deklaracji (o stanie cywilnym, prawnym, przynależności do... etc.) pisanych jej ręką. Pismem dużym, wysokim, silnym. Kanciastym i zdecydowanym.

Jako pracownik kontraktowy – umysłowy (grupa uposażenia X) pracowała (oficjalnie) od 1 listopada 1935 roku do 31 grudnia 1937.

Juna wydawała mi się zawsze najbardziej tajemniczą z kobiet Brunona Schulza. Jako jedyna z jego najważniejszych przeżyła wojnę. A potem wyjechała jak najdalej od rodzinnego Janowa. Zatrzasnęła przeszłość. Nie chciała dotykać drohobyckich wspomnień. Zamknęła się w sobie, ukryła przed światem. Pozornie nic

nie łączyło nauczycielki z Wrzeszcza, a potem pani dyrektor Biblioteki Wyższej Szkoły Pedagogicznej (WSP) z autorem *Sklepów cynamonowych*.

Nie mówiła o nim ani o ich związku. Podobno nie chciała być bohaterką romansu, który obumarł. Miłości, której nie zwieńczył ślub, choć wydawało się, że wszystko do tego prowadzi.

Jednocześnie stale była z nim, czego dowodem blisko pół wieku trwająca korespondencja z jego biografem, Jerzym Ficowskim. Odpowiedziała na jego apel prasowy już w 1948 roku. A potem kawałek po kawałku przez lata odkrywała przed nim tajemnice związku z Brunonem. Pisała, ale nie pozwoliła, by ujawnił jej tożsamość. Stała się „J.” Przetrwiała w tej czapce niewidce aż do swojej śmierci w 1991 roku.

Spróbowałam ją sobie wyobrazić. Pomocą służyły cienie wspomnień, echa pamięci i teczki, takie jak ta, do których przez lata nikt nie zaglądał.

Błogosławiona biurokracja, personalne i księgowo, urzędnicza skrupulatność i także konieczności. Człowiek widziany przez dowody na jego pospolite istnienie, miejsca zatrudnienia, podwyżki, próśby o urlop, zwolnienia lekarskie, przegrupowania i tym podobne dolegliwości.

Józefina Szelińska pracowała jako nauczycielka przed wojną. Jej akta znajdują się nadal w zbiorach Lwowskiego Archiwum. Po wojnie połączyła swój los z Gdańskiem, najpierw jako nauczycielka, potem kierowniczka Biblioteki WSP (później Uniwersytetu Gdańskiego). Kolejne urzędowe życiorysy budowały jej postać. Uzupełniały o szczegóły umykające zawodnej ludzkiej pamięci.

Mozolna robota. Przedzieranie się przez dziesiątki papierów i dokumentów, paragrafy umów, warunki zatrudnienia, wyjazdy, próśby, odwołania, składki, nieobecności, deklaracje...

Rzadkie olśnienia. A jednak. Archiwum GUS-u okazało się nad wyraz łaskawe i zaskakujące.

Bo oto przeleżała w teczce nieznaną fotografię Józefiny Szelińskiej, ta sama, którą złożyła, by otrzymać legitymację służbową (numer 780) w 1936 roku. Jasna, spokojna twarz, wysokie czoło, długie włosy zebrane do tyłu. Skromna. I tylko te wydatne, karminowe usta. Biały kołnierzyk, ale fular ciemny w białe grochy. Oczy patrzące w dal. Poza kadr. W przyszłość.

Oto ona. Trzydziestoletnia – narodowości polskiej, stanu wolnego, na każde z powyższych osobna deklaracja, znająca niemiecki w słowie i piśmie, francuski w słowie. Brak odznaczeń. Niekarana. Podróżowała do Francji, Włoch, Jugosławii, Austrii (Wiedeń), na Węgry (Budapeszt i Banat, podzielony wówczas między Węgry, Rumunię i Jugosławię).

Do organizacji społecznych nie należała. Zamieszkała na Koszykowej 45 m. 15.

O przenosinach do Warszawy z rodzinnych okolic Lwowa marzyła od lat. Usiłowała przekonać do przeprowadzki Brunona, profesora rysunków, ale i pisarza po debiucie, autora świetnie przyjętych *Sklepów cynamonowych*, mężczy-

znę, z którym wiązała przyszłość. Zatrudnienie w urzędzie statystycznym miało być ważnym krokiem w ich wspólnym życiu.

Związek dwojga drohobyckich nauczycieli trwał już wówczas trzy lata. Długie lata zauroczenia, bliskości, obietnic. Wspólnych intelektualnych fascynacji, artystycznych zbliżeń i planów na „spółkę na życie”. Psuło się zawsze, gdy próbowała wydostać go z drohobyckiej prowincji, gdy tłumaczyła, że jego miejsce jest w stolicy, a kariera wymaga bywania w wielkim świecie.

Prosiła, przekonywała, nalegała. Odkąd przeniosła się do Warszawy, czekała coraz wyraźniej na jego decyzję. Wahał się, obiecywał. Nie potrafił. Próbował. Nie umiał. To samo dotyczyło ślubu, z kolejnym utrudnieniem, jako że narzeczona była katoliczką. (Przechrzczoną co prawda, a on wystąpił już dla niej z gminy żydowskiej, ale ciągle nie potrafił załatwić koniecznych formalności, których wymagał ich związek).

Wymienili między sobą dziesiątki listów. Żarliwych, gorących, próbujących oszukać tęsknotę i budować nadzieję. (Żaden nie ocalał).

Pisała po latach do Jerzego Ficowskiego:

„Nie mogłam żyć w takim prowizorium, skazana w Warszawie na pracę, której nienawidziłam, która straciła swój sens, piekielnie monotonna, lichy płatna i martwa. Do pracy szłam z rozpaczą i z rozpaczą zaczynałam dzień. Z drugiej strony, jak ugruntować swój spokój, tudzież spokój tak drogiej i bliskiej istoty, i znając jego skłonność do depresji, jego, a raczej nasze stany taediowitalne, w których nawzajem zatruwaliśmy się.

Jak podjąć decyzję zerwania tej łączącej nas przez cztery lata więzi, zostawienia tej kruchej, bezbronnie obnażonej wobec życia istoty jej losowi.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że z nas dwojga nie on, lecz ja byłam – wbrew pozorom – tą stroną słabszą. On miał swój świat twórczości, swoje wysokie regiony, ja nie miałam nic”.

Piątego stycznia 1937 roku skończyła 32 lata. Kilka dni później usiłowała popełnić samobójstwo. Połknęła środki nasenne. Zawołała o pomoc.

Na początku 1937 roku Schulz informował przyjaciół, że stosunki z Juną zerwane. „Bardzo mi jej żal – pisał do Halpernowej w kwietniu – nie wiem, co ona porabia po tak ciężkich przejściach, na listy moje nie odpowiada. Żal mi nas obojga i całej naszej przeszłości skazanej na zagładę. Takiej drugiej jak ona już nie znajdę”.

Nigdy nie potwierdziła informacji (doniesień czy plotek) o swojej próbie samobójczej. Przeciwnie. Do końca twierdziła, że „chodziło o ciężki przypadek grypy”. („Nie umiałam żyć w takiej szarpaninie i z pomocą przyszła mi ciężka choroba – świetna ucieczka”).

Dotychczas znane źródła milczą na temat kontaktu Schulza z narzeczoną w owym czasie. Wydawało się, że nie wiedział o jej kroku. Nigdy nie nazwał go po imieniu, nie skomentował.

W archiwum GUS-u, w teczce osobowej Szelińskiej zachował się pod numerem 18 szczególny dokument. Wydawałoby się, że to jedno z wielu podań o urlop.

Podpisane jak należy przez pracownicę, której dotyczą wszystkie pozostałe dokumenty. Napisała jednak nie jej ręką.

Nietrudno w tych siedmiu równych wersach odnaleźć znajome tropy rękopisów autora *Republiki marzeń*. Drobnym dukt pisma, niewielkie, grzecznie stawiane litery. Mniej okrągłe i czułe niż w listach do kobiet, ale równie czytelne i lekkie. Po każdym słowie oddech, niewielka pauza, by odpowiednio wybrzmiało:

„Do Pana Dyrektora
Głównego Urzędu Statystycznego,
w Warszawie [...]”.

Tu pismo jakby celowo kaligrafowane – z naciskiem, z perswazją, ostrzejsze w rysunku, jak we własnych podaniach o urzędniczą łaskę.

I dalej miękko, oznajmująco i łagodnie:

„W związku z ciężką chorobą, jaką przeżyłam [...]”.

Poprosiła go o napisanie tego podania, czy może sam się zaoferował. W przeciwieństwie do niej, miał w tym wieloletnią wprawę. Nie była w stanie sama się tym zająć?

Nie zważał się użyć żeńskiej formy czasownika:

„[...] przedkładałam załączone świadectwo lekarskie i proszę o 4. tygodniowy urlop dla poratowania zdrowia”.

Ten zwrot przeciwczył wielokrotnie, swoje zdrowie chciał „poratować” z powodu zapalenia opłucnej lub okostnej, nerwicy serca, dyspepsji żołądka lub przewlekłego zapalenia pęcherza. Tym razem prosił o nie – zdrowie i ratunek – dla Juny.

Data: Warszawa, 2 stycznia 1937 jeszcze jego ręką.

Niżej jej podpis. A właściwie cień podpisu, jeśli go porównać z jakimkolwiek innym. Ani śladu poprzedniego zdecydowania, bezsiła w miejsce siły, znikający z każdą literą szkielet dawnego imienia.

Świadectwo lekarskie mówiło o cierpieniu serca i ogólnym wyczerpaniu nerwowym. Kolejne zaświadczenia potwierdzały jej niezdolność do pracy i konieczność pozostania w łóżku. Ze stycznia, lutego, marca... a potem z lipca i sierpnia. Doszły bóle rwy kulszowej, niesprawny (upośledzenie ruchów) staw biodrowy. Coraz dłuższe nieobecności w pracy. Konieczność leczenia klimatycznego, odpoczynku. Z dniem 1 października poprosiła o zwolnienie z zajęć biurowych.

Do urzędu nie wróciła.

Umowę rozwiązano 31 grudnia.

18.

Do Pana Dyrektora
Głównego Urzędu Statystycznego,

u Narciarze

W związku z ciężką chorobą, jako pacjenta, proszę o
zwiększenie świadczeń lekarskich i przenieś o 4 tygodniowy urlop
na paradowanie zdrowia.

Narcizant, 22. lipca 1937.

Józefina Szeleńska

1 List Józefiny Szeleńskiej w sprawie przyznania urlopu zdrowotnego, napisany przez Brunona Schulza (Archiwum GUS, Warszawa)



2 Potwierdzenie przez Józefinę Szelińską odbioru legitymacji służbowej (Archiwum GUS, Warszawa)

Narieczona Schulza

Najpierw zobaczyła Diabła i Anioła. Diabeł był czarny, Anioł biały. Wszystko jak należy. Smród tylko bardziej piekielny, wymiociny, lizol, chlor gęstniejący w powietrzu. Tak chyba wygląda czyściec. Jak w najgłupszych opowieściach gojów?

– Gdzie ja jestem?

Diabeł odwrócił się uprzejmie. Miał miłą, ciepłą twarz bez zarostu.

– Na Lindleya, szanowna pani.

Uśmiech diabła nie zapowiadał chyba niczego dobrego. Powtórzyła z rozpaczą.

– Gdzie?

Anioł w bieli szczęknął tacą z fiolkami.

– Ziemia. Polska. Warszawa.

A kiedy dalej nie rozumiała, prychnął jeszcze raz zniecierpliwiony:

– W szpitalu.

Teraz zrozumiała. Ksiądz i pielęgniarka. To był jej Diabeł i Anioł. Więc nie piekło. Ani też nie niebo. W niebie nie może śmierdzieć wymiocinami i chlorem. Czyli jednak rzeczywiście czyściec. Ale ksiądz nie do niej przyszedł, lecz do sąsiadki, która nieprzytomna, już nie zdążyła pojednać się z Bogiem. Dobrze, że zmrok zapadał szybko, kształty rozmazywały się, cichło wszystko. Chyba jej się tylko wyobrażało, że i tutaj słyszy wrzaski tego samego pijaka co wtedy. Pewnie – to tam, gdzieś dalej w głębi korytarza, chorzy, prawdziwi chorzy dogadywali się z wiecznością. Ona – wstyd przyznać – osóbką, która wymagała jedynie płukania żołądka, czekała już tylko na wypisanie.

Bolało gardło od rury, którą wpychano jej siłą, i nadgarstki przywiązywane rzemieniami do łóżka. Czy jej się tylko zdawało, że wszyscy patrzą na nią z potępieniem? A przynajmniej lekceważąco. Szczególnie anioły. Przez chłopa robić takie rzeczy – wstyd! Odwiedziły ją koleżanki z pracy. Dwie, dziwne, bo ledwie je znała. Staraly się być miłe, ale i tak zmęczyła ją ta wizyta. Nie teraz. Teraz chciała się ukryć, zniknąć przynajmniej z tego kawałka świata, skoro z całego zniknąć się nie dało.

O nim nie chciała myśleć. Bo i o czym? Pewnie zaczął jej po jakimś czasie szukać. Pukał do drzwi, nasłuchiwał, wracał na ulicę i przerażony myślał, co robić. Już od Marszałkowskiej zawracał, znowu pokonywał schody, znowu pukał. Za drugim czy za trzecim razem zdobył się na odwagę i spytał o nią dozorcę o złym spojrzeniu. Nie mogła mu się spodobać ani treść, ani ton tego, co usłyszał. O niej, o skandalu, którym żyła cała kamienica. Ale konkretów zbyt wielu się nie dowiedział. W szpitalu nie próbował jej odwiedzić. Myślała, kiedy już mogła myśleć, że pewnie przestraszony „aferą” – uciekł z Warszawy. Do swojego, nienawistnego dla niej Drohobycza.

Nie myliła się wiele. Nie od razu co prawda... Bo najpierw dosłownie – zaniemówił. Dwunastego stycznia 1937 roku lekarz chorób wewnętrznych Kazimierz

Bacia – pomoc lekarska dla pracowników państwowych – stwierdził u pacjenta Brunona Schulza ostry nieżyt tchawicy. Drohobycki doktor Eljasz Hoffmann rozpoznanie potwierdził, zaostrenie stanu przypisując nieopalonym wagonom kolei i wnioskował o usprawiedliwienie nieobecności „na służbie” od 12 stycznia do 1 lutego. Sam pacjent zaś wnosił o „udzielenie urlopu dla poratowania zdrowia”. Na przeciąg dwóch miesięcy, Szanowna Dyrekcja raczy...

Junie lekarz sugerował obserwację na Nowowiejskiej, w szpitalu psychiatrycznym. Łatwiej będzie przyjść do siebie. Uspokoić organizm i duszę. Nie chciała. Miała gdzie uciec. Daleko, jak najdalej od Warszawy. Od tego miasta, w którym pokładała wielkie nadzieje, a które sprowadziło na nią same nieszczęścia. Tam, gdzie sama dojdzie do siebie. Łąka, sosnowy las, tafla jeziora. Zapach mrozu za oknem. To ją uleczy. Wystarczy tylko wyjść z domu. Albo i nie wyjść. Skoro jest się chorym na grypę...

Grypa to dobre wytłumaczenie, jeśli się nie ma siły ani ochoty wstawać z łóżka tygodniami. Grypa jest elegancka, grypa to nie klęska, nie żal, nie strach tamujący oddychanie. To przywoita choroba zwykłych ludzi, nie kochanków. Będzie się tej grypy trzymać zawsze.

Spakowana była już wcześniej. Poczekala tylko na miesięczną wypłatę. Dlatego Bruno mógł ją jeszcze zastać w mieszkaniu. Udała, że nic się nie stało wielkiego, że zaszła z powodu ataku grypy. A on – że o niczym nie wiedział. I że sam cierpi na gardło. Pooszukiwali się nawzajem. Para razem i z osobna cierpiąca na depresje, pocieszała się, że to tylko ciało, ciało ich zawiodło... O żadnym samobójstwie, rzecz jasna, mowy nie było i miało nie być. Do końca świata postanowiła nie przyznać się do tej słabości. Co by pomyśleli rodzice...

Juna była jednak tak słaba, że musiała nawet poprosić Brunona o pomoc w napisaniu podania. Na arkuszu kancelaryjnego papieru, udając w nagłówku pismo drukowane, ale później już swoimi drobnymi, charakterystycznymi literkami wystylizował, jak już wiele razy w życiu, pismo do urzędu.

„Do Pana Dyrektora Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie.

W związku z ciężką chorobą, jaką przebyłam, przedkładam załączone świadectwo lekarskie i proszę o 4-tygodniowy urlop dla poratowania zdrowia”.

Jej charakterem jest tylko podpis: Józefina Szelińska.

I znowu jego pismem: „Warszawa, 22 stycznia 1937”.

„Dla poratowania zdrowia”. Zwrot, którego sam użył tydzień wcześniej dla uzasadnienia swojego własnego podania o urlop. A i przedtem wiele razy. Tyle mógł dla niej zrobić. Na szczęście koleżanka przyniosła pieniądze z GUS-u. I mogła zabrać podanie z dołączonym zaświadczeniem. Doktor Edward Grodzieński stwierdzał w nim u pacjentki Szelińskiej „objawy schorzenia sercowego, cechujące się bólami i zawrotami głowy oraz ogólnym osłabieniem”. I zalecał, by aż do ustania wspomnianych objawów pozostała w łóżku.

„Schorzenie sercowe”. Wiedziała, że ono tak łatwo nie minie, nie tu, nie w tej obcej, przekłętej Warszawie. Więc koleżanka pomogła się też Junie ubrać i spro-

wadziła ją ze schodów. Bo Bruno, chyłkiem tak jakoś, mamrocąc coś na do widzenia, zdążył już na szczęście wyjść. Jak złoczyńca wykpiwający się bółącym gardłem przed gorszą karą. Na szczęście, bo chyba by sceny pożegnania nie przeżyła. Miała pieniądze, mogła więc spokojnie pojechać na dworzec taksówką. Potem wsiąść do pociągu do Lwowa, dalej już do siebie.

Kiedy tak naprawdę dogłębnie poczuła, że nie zostanie żoną ani matką jego dzieci? Tego mroźnego popołudnia? Wcześniej? Jak się to w niej zbierało? Ta wiedza tajemna, to przekonanie? Z kim przegrała? Z uliczną dziewczką? Czy może ze sztuką? SZTUKĄ. Może chociaż pisaną dużą literą?

Nie wychodziła z łóżka tygodniami. „Schorzenie sercowe” nie mijalo. Właściwie przez cały rok. Łaskawy, może nawet równie „święty”, brat Tadeusza, dyrektor Edward Szturm de Sztrem, podpisywał zgodę na jej kolejnych podaniach o urlop zdrowotny. Zmieniali się lekarze. Doktorzy: Bromak, Lebkuchler, Kupfer, Brill, potem znowu i na stałe już dr Leopold Lebkuchler z Ośrodka Leczniczego w Janowie, stwierdzali przez wiele miesięcy mniej więcej to samo – chora niezdolna jest do wykonywania pracy biurowej. Nazwa dolegliwości i samej choroby nieco się od siebie różniły, objawy mieszały się z przyczyną – grypa, zapalenie mięśnia sercowego, duszność wysiłkowa, osłabienie. Nawet rwa kulszowa. Ale werdykt był ten sam. Leżeć, odpoczywać, leczyć się „klimatycznie”. W środku roku dopiero GUS zażądał komisyjnych badań. Przeszła je we Lwowie bez trudu. Ogólny stan depresyjny nie ulegał bowiem dyskusji. I znowu: „uprzejmie proszę o udzielenie mi...”

Swoją drogą wiedziała chyba, że traktowano ją w GUS-ie ulgowo ze względu, no, wiadomo, ze względu na kogo. Tak jak drugą podopieczną dyrekcji – żonę Witkacego, ciągle występującą o zapomogi, gdyż: „dochody męża nie wystarczają na utrzymanie domu...”

Wracła „z tamtej strony” powoli, miesiąc za miesiącem. Z łóżka prawie nie wychodziła, za to siadywała w nim często przed swoim portretem. Przed „Tą” w kapeluszu. Tak ją nazywała: „Ta w kapeluszu”. Mówiła o niej też – „ONA”. Przyglądała się najczęściej w milczeniu. Coraz częściej jak komuś obcemu. Wysoka, przystojna, dystygowana. ONA. Nie ja przecież!

Do kogo tak się wdzięczysz tymi swoimi białymi zębami, z których byłaś tak dumna? Nie chcę z tobą rozmawiać. Nigdy nie chciałam. Wyrosłam z ciebie. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ty i ja. Ja i ja. To wszystko przez ciebie, głupia młódko!

Rodzice nic nie mówili, rozumeli, co się dzieje. Jedynym chyba, który nie rozumiał – był Bruno. Nie wiedział, jak się zachować, nie chciał nikogo ranić, a ranił, próbował Junie – w swoim przekonaniu – nieba przychylić, a przyniósł piekło. Pisał, nie odpowiadała. Na kwieciste listy o niczym najlepszą odpowiedzią było milczenie. Jeszcze nie wstawiała z łóżka – zresztą trapiiona w końcu i prawdziwym zaziębieniem – kiedy przyjechał. Bez zapowiedzi, a może i z zapowiedzią, dwa nieotwarte listy leżały przecież na komodzie...

Przyniósł mi daktyle. W dawnym życiu lubiliśmy ich dziwną słodycz, jakby obietnicę orientalnego słońca. Teraz ledwie spróbowałam, a on jadł je powoli jakby nigdy nic. Podłużne pestki delikatnie sadowił na serwetce. Był nie z tego świata. Siedział przy mnie, czasem dotykał ręki, ale nie czułam jego bliskości. Był osobny, nieobecny duchem. Jakby nie wiedział, nie chciał wiedzieć, co się stało i dlaczego. Dlaczego ja targnęłam się na życie, jaka w tym jego rola i co to znaczy na przyszłość. Pierwszy raz tak dotkliwie poczułam, że mnie nie kocha. Że słowa, których używa w swoich barokowych wyznaniach, do prawdziwych uczuć mają się nijak, są co najwyżej ich groteskowymi cieniami. I że on tego wcale nie zauważa. Że niczego nie rozumie...

Gorzej nawet. Miałam wrażenie, że siedząc tak przy mnie, pogryzając daktyle i bąkając coś od czasu do czasu o swoich szkolnych sprawach, tak naprawdę jest myślami gdzie indziej. Kiedy wspomniał o *Sanatorium pod Klepsydrą*, które miało się niedługo ukazać (z dedykacją dla mnie – no, pewnie!), i o kłopotach z *Mesjaszem*, zrozumiałam – gdzie. Nie przy mnie, bo przy swojej przekłętej kartce papieru, bo układa jakieś kolejne opowiadanie. A może i myśli, czy moje ogłupiałe, udręczone ciało nie przeszkodzi mu w napisaniu następnego akapitu. Błysk w oku zdradzał, że już w nim był, już go wdzięcznie stylizował. Czy pisał do innej kobiety, czy do książki – nieważne. Zdradzał mnie, siedząc przy mnie chorej, przy moim łóżku. Nie, nie zdradzał, na tyle go przecież znałam. Taki po prostu był, stale myślami gdzie indziej, więc i nie tu ze mną, choć przy mnie. Pewnie wymyślił sobie, że tak będzie bezpieczniej. Nie przekroczy my granicy wykrętów, wyrzutów, płaczów może. Będzie tak jak dawniej. Ja i on. Przecież Juna znaczy Mężna. Juna opiekunka, matka prawie, biały anioł i długonoga antylopa, której można zawierzyć każdą słabość. Każdą małość i sekret.

I ten partner Junony. Także mitologiczny – Genius. Siedział właśnie przy niej. Geniusz pogryzający daktyle, jeden za drugim. Jak zdania w swoim nieskończonym opowiadaniu...

Kiedy odjechał, pomyślałam, że oboje byliśmy siebie warci. Dwoje dorosłych ludzi, którzy nie umieją z siebie wykrztusić rozstania. Choćby się mieli potem zadławić pestką.